

## Bruno LATOUR

Prolog w formie dialogu pomiędzy studentem  
i (cokolwiek) sokratycznym Profesorem<sup>1</sup>

*(Gabinet w London School of Economics, późne wtorkowe popołudnie w lutym, przed pójściem do Beaver na kwartę piwa. Słysząc ciche, ale natarczywe pukanie. Student zagląda do gabinetu.)*

Student: – Czy nie przeszkadzam?

Profesor: – Nie, to i tak są moje godziny pracy. Proszę wejść i usiąść.

S: – Dziękuję.

P: – Mniemam, że... czuje się Pan trochę zagubiony?

S: – Właściwie tak. Muszę przyznać, iż trudno mi zastosować Teorię Aktora-Sieci w moich badaniach nad organizacjami.

P: – Nic dziwnego – nie można zastosować jej do niczego!

S: – Ale uczono nas... mam na myśli... wydawało mi się, że to tutaj całkiem gorący towar. Czy mówi Pan, że jest zupełnie bezużyteczna?

P: – Mogłaby być użyteczna, ale tylko jeśli nie „stosuje” się do niczego.

S: – Przepraszam, ale czy to ma być jakaś sztuczka Zen? Muszę Pana ostrzec, że jestem jedynie doktorantem w badaniach nad organizacjami, więc proszę nie oczekiwać... Nie jestem w temacie, jeśli chodzi o francuską myśl, przeczytałem trochę *Mille Plateaux*, ale nie bardzo zrozumiałem, o co tam chodzi...

---

<sup>1</sup> Tłumaczenia zbiorowe pod kierunkiem Krzysztofa Abriszewskiego dokonali: Adrian Gahbler, Andrzej Kilanowski, Paweł Mił, Radosław Naworski, Natalia Organista, Dawid Piekło, Robert Szatkowski, Wojciech Wańczyk, Jakub Wolski.

P: – Przepraszam. Nie chciałem się wymądrzać. Chodzi o to, że ANT (skrót od ang. *Actor-Network Theory* – przyp. tłum.) przede wszystkim jest negatywnym rozumowaniem. Nie mówi nic pozytywnie na temat jakiegokolwiek stanu rzeczy.

S: – Więc, do czego może mi się przydać?

P: – Najbardziej przydać się może jej rada: „Kiedy informatorzy zmieszają razem organizację, *hardware*, psychologię i politykę w jednym zdaniu, to nie rozkładaj tego na proste, zgrabne elementy; staraj się podążać za powiązaniem, tworzonym przez nich pomiędzy tymi elementami, które wyglądałyby zupełnie niewspółmierne, gdyby zastosować normalne akademickie kategorie”. To wszystko. ANT nie potrafi pozytywnie stwierdzić, czym jest to połączenie.

S: – Więc czemu nazywana jest „teorią”, skoro nie mówi nic o rzeczach, które badamy?

P: – Jest teorią i to solidną, jak sądzę, ale tego, jak badać rzeczy, a raczej, jak ich nie badać. Albo raczej, w jaki sposób zapewnić aktorom możliwość wyrażenia się.

S: – Czy mówi Pan, że inne teorie społeczne na to nie pozwalają?

P: – W pewnym sensie pozwalają, ze względu na swoje mocne strony: dobrze orzekają pozytywnie, z czego zrobiony jest świat społeczny. W większości przypadków to wystarczy; składniki są znane; powinno się utrzymać ich małą liczbę. Lecz to nie działa, kiedy rzeczy szybko się zmieniają, na przykład w badaniach nad organizacjami, informacją, marketingiem, nauką i technologią, gdzie granice są okropnie rozmyte. Nowe dziedziny to jest to, do czego potrzeba ANT.

S: – Ale moi agenci, aktorzy, mam na myśli tych ludzi, którzy są przedmiotem moich badań, tworzą wiele sieci. Są połączeni z wieloma innymi rzeczami, są wszędzie.

P: – Ale proszę zobaczyć, problem w tym, iż nie potrzeba Aktora-Sieci, aby to stwierdzić; jakakolwiek teoria społeczna znajdująca się pod ręką zrobiłaby to samo. Użycie tak dziwaczego rozumowania, by pokazać, że informatorzy są w sieci, jest stratą czasu.

S: – Ależ oni są! Tworzą sieć! Proszę spojrzeć, prześledziłem ich powiązania: chipy komputerowe, standardy, wykształcenie i szkolenia, pieniądze, nagrody, kraje, kultury, rady nadzorcze, wszystko. Czy nie opisałem sieci w Pańskim rozumieniu?

P: – Niekoniecznie. Przyznaję, że to strasznie pogmatwane i to w dużej mierze jest nasza wina – określenie, które wynaleźliśmy jest dość kłopotliwe... Jednak nie powinno się mylić sieci, która jest opisana, z tą, która jest użyta do sporządzenia opisu.

S: – ...?

P: – Ależ tak! Z pewnością zgodzi się Pan, że rysowanie ołówkiem to nie to samo, co rysowanie kształtu ołówka. Tak samo jest z tym niejednoznacznym słowem „sieć”. Przy pomocy Teorii Aktora-Sieci można opisać coś, co w ogóle nie przypomina sieci – stan umysłu jakiejś jednostki, część maszyny, fikcyjnego bohatera; i na odwrót, można opisać sieć – metro, kanalizację, sieć telefoniczną – która nie jest nakreślona w kategoriach Aktora-Sieci. Myli Pan przedmiot z metodą. ANT stanowi metodę, głównie metodę negatywną; nie mówi ona nic o kształcie tego, co opisuje.

S: – To kłopotliwe. A szefostwo mojej firmy, czy oni nie tworzą całkiem przejrzystej, dobrze zarysowanej sieci?

P: – Może i tak, to znaczy, na pewno tak, ale co z tego?

S: – W takim razie, mogę badać ich za pomocą Teorii Aktora-Sieci!

P: – Znowu: być może tak, a może nie. Wszystko zależy od tego, na co Pan sam pozwoli swoim aktorom czy raczej aktantom. Bycie połączonym, bycie wzajemnie powiązanim, bycie heterogenicznym nie wystarczy. To wszystko zależy od rodzaju działania, które przepływa od jednego do drugiego, stąd słowa „sieć” (*net*) i praca (*work*). Właściwie powinniśmy mówić *worknet* zamiast *network*. To praca, ruch, przepływ i zmiany powinny być akcentowane. Ugrzęźliśmy w terminie „sieć” (*network*) i wszyscy myślą, że chodzi nam o Pajęczynę Oplatającą Świat (*World Wide Web*) czy coś w tym rodzaju.

S: – Chce Pan powiedzieć, że nawet jeśli pokazałem, iż moi aktorzy są powiązani, tworząc sieci, to nie jest jeszcze ANT?

P: – Właśnie to chcę powiedzieć, ANT jest bardziej jak termin „ołówek” lub „pędzel” niż jak nazwa przedmiotu, który ma być dopiero narysowany lub namalowany.

S: – Ale kiedy powiedziałem, że ANT jest narzędziem, i pytałem, czy może zostać zastosowane, to Pan protestował!

P: – Ponieważ nie jest narzędziem – ale raczej dlatego, że narzędzia nigdy nie są „zaledwie” narzędziami gotowymi do zastosowania; zawsze modyfikują zamierzony cel. Oto właśnie, co znaczy „aktor”. Aktor-Sieć (zgadzam się, że nazwa jest niemądra) pozwala uzyskać rezultaty, których nie można by uzyskać dzięki żadnej innej teorii społecznej. To wszystko, za co mogę ręczyć. To bardzo powszechne doświadczenie, rysowanie ołówkiem to nie to samo, co rysowanie węglem; przygotowywanie tarty w gazowym piecyku to nie to samo, co w elektrycznym.

S: – Ale nie tego chce mój promotor. On domaga się ramy, w której można by umieścić moje dane.

P: – Jeśli chce Pan składować więcej danych, proszę kupić większy twardy dysk...

S: – Zawsze mówi: „Studencie, potrzebujesz ramy odniesienia” (*framework*).

P: – A? Czyli Pana promotor handluje obrazami? To prawda, że ramy się im przydają: pozłacane, białe, rzeźbione, barokowe, aluminiowe itp. Jednak czy kiedykolwiek spotkał Pan malarzkę, która zaczynałaby swoje dzieło od wyboru ramy? To byłoby nieco dziwne, nieprawdaz?

S: – Bawi się Pan słowami. Poprzez „ramę” rozumiem teorię, rozumowanie, myśl przewodnią, pojęcie – coś, co ma nadawać sens: danym. Zawsze potrzeba czegoś takiego.

P: – Nie potrzeba! Proszę mi powiedzieć, jeśli jakiś X jest zaledwie przypadkiem Y-a, to co jest ważniejsze do badania: X, który stanowi szczególny przypadek, czy Y, który jest regułą?

S: – Prawdopodobnie Y..., ale X również, chociażby po to, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest jej zastosowaniem... no cóż, wydaje mi się, że oba.

P: – Postawiłbym osobiście na Y, bo X nie nauczy niczego nowego. Jeżeli coś jest po prostu „przypadkiem” jakiegoś innego stanu rzeczy, to badaj w takim razie ten

stan rzeczy... Jeśli studium przypadku potrzebuje dodatkowo ramy, jest to studium przypadku, które na początku zostało źle wybrane!

S: – Ale zawsze trzeba umieścić rzeczy w kontekście, czyż nie?

P: – Nigdy nie rozumiałem fascynacji kontekstem. Rama upiększa obraz, może lepiej ukierunkować spojrzenie, zwiększyć wartość, ale niczego do obrazu nie dodaje. Rama czy też kontekst jest dokładnie tym: sumą czynników, która nie ma znaczenia dla danych, co powszechnie wiadomo. Na Pana miejscu zrezygnowałbym w ogóle z ram. Niech Pan tylko opisze, jak się rzeczy mają.

S: – „Tylko opisać”. Przepraszam, że zapytam, ale czy nie jest to strasznie naiwne? Czy nie jest to właśnie ten rodzaj empiryzmu lub realizmu, przed którym nas ostrzegano? Myślałem, że Pańska myśl była, jakby to powiedzieć, bardziej wyrafinowana.

P: – Ponieważ zdaje się Panu, że opis jest czymś łatwym? Na pewno myli Pan opis z, jak sądzę, garścią frazesów. Na każdą setkę książek z komentarzami, argumentami, omówieniami, przypada tylko jedna z opisem. Opisywać, być wrażliwym na konkretne stany rzeczy, znajdować najbardziej odpowiednią relację z danej sytuacji – zawsze wydawało mi się to niezwykle wymagające. Czy słyszał Pan o Haroldzie Garfinklu?

S: – Muszę powiedzieć, że się zgubiłem. Mówiono nam, że są dwa rodzaje socjologii, interpretatywna i obiektywistyczna. Z pewnością nie chce Pan powiedzieć, że jest Pan typem obiektywisty?

P: – Ażeby Pan wiedział, że jestem! Tak, każdym calu.

S: – Pan? Ale mówiono nam, że jest Pan kimś w rodzaju relatywisty! Miał Pan podobno powiedzieć, że nawet nauki przyrodnicze nie są obiektywne... Więc, na pewno jest Pan za socjologią interpretatywną, punktami widzenia, wielością stanowisk itd.

P: – Nie interesuje mnie socjologia interpretatywna, niezależnie od tego, co Pan tak nazywa. Nie, wręcz przeciwnie, szczerze wierzę, że nauki są obiektywne – jakie inne mogłyby być? Wszystkie dotyczą [jakichś] obiektów<sup>2</sup>, czyż nie? Po prostu twierdę, że obiekty mogą wyglądać na trochę bardziej skomplikowane, wielowarstwowe, wielopostaciowe, złożone, pogmatwane aniżeli, jak Pan sam przyznał, chcieliby tego „obiektywiści”.

S: – Ale czy nie o to właśnie spierają się „interpretatywni” socjologowie?

P: – Och nie, skądże. Powiedzieliby oni, że ludzkie pragnienia, znaczenia, intencje itp., wprowadzają pewną „interpretacyjną elastyczność” w świat nieelastycznych obiektów, „czystych relacji przyczynowych”, „wyłącznie materialnych połączeń”. Ja nie o tym mówię. Powiedziałbym, że ten komputer na tym biurku, monitor, klawiatura, jako obiekty, także ta uczelnia są złożone z wielorakich warstw, dokładnie tak, jak Pan tu siedzący: Pańskie ciało, język, pytania. To sam obiekt dodaje wielość albo raczej rzecz, „zgrupowanie”. Kiedy mówi się o hermeneuty-

<sup>2</sup> Słowo *object* oddajemy jako „obiekt”, a nie „przedmiot”, jak byłoby poprawniej, aby pozostawić w języku polskim wyraźną, podkreślaną cały czas w tekście, relację między obiektem i obiektywnością – przyp. tłum.

ce, nieważne, jakie podejmie się środki ostrożności, można spodziewać się ataku z drugiej strony: ktoś z pewnością doda „ale oczywiście istnieją także «naturalne», «obiektywne» rzeczy, które są niezinterpretowane”.

S: – Właśnie to zamierzałem powiedzieć! Istnieją nie tylko obiektywne rzeczywistości, ale także te subiektywne! Dlatego więc potrzebujemy obu typów teorii społecznych...

P: – Widzi Pan? To jest pułapka nie do uniknięcia: „Nie «tylko i wyłącznie», ale «także»”. Albo rozciągnie Pan ten argument na wszystko, lecz wtedy stanie się on bezużyteczny – „interpretacja” będzie kolejnym synonimem „obiektywności” – albo, w przeciwnym razie, ograniczy Pan go do jednego, ludzkiego aspektu rzeczywistości, i wówczas utknie Pan, ponieważ obiektywność zawsze znajduje się po drugiej stronie płotu. I nie ma znaczenia, czy drugą stronę uważa się bardziej za świeżą lub nieświeżą; i tak jest poza zasięgiem.

S: – Ale nie zaprzeczy Pan, że Pan również zajmuje jakieś stanowisko, że ANT jest również jakoś usytuowana, że Pan również dodaje następną warstwę interpretacji, jakąś perspektywę?

P: – Nie, dlaczego miałbym temu przeczyć? Ale co z tego? Wspaniałą rzeczą w posiadaniu stanowiska jest to, że można je zmienić! Dlaczego miałbym w nim utknąć? Astronomowie mają ograniczoną perspektywę, zależną od miejsca na Ziemi, w którym się znajdują, na przykład w Greenwich, w Obserwatorium położonym w dole rzeki – czy był Pan tam? Jest wspaniałe. A mimo to całkiem dobrze im idzie zmienianie tej perspektywy przy użyciu instrumentów, teleskopów, satelitów. Potrafią teraz naszkicować mapę rozmieszczenia galaktyk w całym wszechświecie. Całkiem nieźle, prawda? Wskaż mi jedno stanowisko, a ja pokażę dwa tuziny sposobów jego zmiany. Proszę posłuchać, może Pan spokojnie zapomnieć o całej tej dychotomii pomiędzy [poszczególnym] „stanowiskiem” i „widokiem znikąd”. Także o różnicy pomiędzy „interpretatywnym” a „obiektywnym”. Proszę zostawić hermeneutykę na boku i wrócić do obiektu lub raczej do rzeczy.

S: – Ale ja zawsze jestem ograniczony do mojego konkretnego punktu widzenia, do mojej perspektywy, do mojej własnej subiektywności?

P: – Jest Pan bardzo uparty! Co skłania Pana do myślenia, że posiadanie punktu widzenia oznacza „bycie ograniczonym” albo szczególnie „subiektywnym”? Gdy podróżuje się za granicę i kieruje się znakami „belweder”, „Panorama”, „Bella vista”, gdy w końcu dociera się do miejsca zapierającego dech w piersi, w jakim sensie ma to być dowód „subiektywnych ograniczeń”? To rzeczy same – dolina, szczyty, drogi – oferują to uchwycenie, ogarnięcie, ujęcie. Najlepszym dowodem jest to, że dwa metry niżej nie zobaczysz nic z powodu drzew, dwa metry wyżej nie zobaczysz nic z powodu parkingu. Mimo to, ma się tę samą ograniczoną „subiektywność” i dokładnie to samo „stanowisko”! Jeśli można mieć wiele punktów widzenia na pomnik, to dlatego, że sam pomnik jest trójwymiarowy i pozwala, właśnie tak, pozwala obchodzić siebie dookoła. Jeśli coś wspiera wiele punktów widzenia, dzieje się tak dlatego, iż jest ono wysoce złożone, zawile wielowarstwowe, nieźle zorganizowane i piękne, tak, obiektywnie piękne.

S: – Ależ z pewnością nic nie jest obiektywnie piękne – piękno musi być subiektywne..., jak smak i kolor, relatywne... Znowu się pogubiłem. Dlaczego więc spędzamy tyle czasu, zwalczając obiektywizm? To, co Pan mówi, nie może być prawdą.

P: – Ponieważ, rzeczy, które ludzie nazywają „obiektywnymi”, są w większości przypadków szeregiem komunałów. Nie mamy zbyt wielu dobrych opisów czegokolwiek: czym jest komputer, program komputerowy, system formalny, teoremat, firma czy rynek. Prawie nic nie wiemy o tym, czym jest rzecz, którą Pan bada, czyli organizacja. Jak moglibyśmy odróżnić ją od subiektywności? Istnieją zatem dwie drogi krytykowania obiektywności: jedna poprzez przejście od obiektu do ludzkiego, subiektywnego punktu widzenia. Lecz drugim kierunkiem jest ten, o którym ja mówię: na powrót do obiektu. Dlaczego pozostawić obiekty do opisanego tylko idiotom?! Pozytywiści nie posiadają na własność obiektywności. Komputer opisywany przez Alana Turinga jest o wiele bogatszy i ciekawszy niż te opisywane przez „Wired Magazine”, nieprawdaż? Jak zauważyliśmy wczoraj na zajęciach, fabryka mydła opisana przez Richarda Powersa w „Gain” jest znacznie bardziej frapująca niż ta, o której czytałeś w „Harvard Case Studies”. Chodzi o powrót do empiryzmu.

S: – Wciąż jednak jestem ograniczony do mojego spojrzenia.

P: – Oczywiście, że Pan jest, ale znowu, co z tego? Proszę nie wierzyć we wszystkie te bzdury o byciu „ograniczonym” do własnej perspektywy. Każda z nauk wynajduje sposoby, by przechodzić z jednego stanowiska do drugiego, z jednej ramy odniesienia do drugiej, na miłość boską, to się nazywa względność (*relativity*).

S: – Ach! Czyli przyznaje się Pan, że jest relatywistą (*relativist*)!

P: – Ależ oczywiście, a jakże inaczej? Gdybym chciał być naukowcem i osiągnąć obiektywność, musiałbym umieć przemieszczać się z jednej ramy odniesienia do następnej, od jednego stanowiska do innego. Bez tych przemieszczeń byłbym na dobre ograniczony do mojego własnego, wąskiego punktu widzenia.

S: – Więc łączy Pan obiektywność z relatywizmem?

P: – „Relatywnością” (*„Relativity”*) – tak, oczywiście. Wszystkie nauki robią to samo. Nasze również.

S: – Ale jaki jest nasz sposób na zmianę stanowisk?

P: – Już Panu mówiłem, zajmujemy się opisami. Wszyscy inni wymieniają się frazesami. Badania, ankiety, cokolwiek – idziemy, słuchamy, uczymy się, ćwiczymy, stajemy się kompetentni, zmieniamy nasze spojrzenia. To naprawdę proste, to się nazywa praca w terenie. Dobrze wykonana praca w terenie zawsze przynosi wiele nowych opisów.

S: – Ale ja już mam masę opisów! Tonę w nich. Na tym właśnie polega mój problem. Dlatego właśnie jestem zagubiony i dlatego pomyślałem, że przyjdzie do Pana mi pomoże. Czy ANT nie mogłoby mi pomóc z tym zalewem danych. Potrzebuję jakiejś ramy.

P: – „Królestwo za ramię!”. Bardzo wzruszające! Wydaje mi się, że rozumiem Pana rozpaczę. Jednak nie, ANT jest raczej bezużyteczne do czegoś takiego. Jej główną zasadą jest to, że aktorzy sami tworzą wszystko, włączając w to swe własne ramy,

swe teorie, swe konteksty, swe metafizyki, nawet swoje ontologie... Obawiam się więc, że kierunkiem, w którym należy podążać, będzie więcej opisów.

S: – Ale opisy są zbyt długie. Zamiast nich muszę wyjaśniać.

P: – Widzi Pan? Właśnie w tym punkcie nie zgadzam się z większością programów nauczania w naukach społecznych.

S: – Czyli nie zgodziłby się Pan z potrzebą, by nauki społeczne dostarczały wyjaśnienia danych, które gromadzą? I nazywa się Pan badaczem społecznym i obiektywistą!

P: – Powiedziałbym, że jeżeli Pański opis potrzebuje jakiegoś wyjaśnienia, to nie jest to dobry opis, to wszystko. Tylko złe opisy wymagają wyjaśnienia. To naprawdę bardzo proste. Co rozumie się w większości przypadków przez „wyjaśnienie”? Dodawanie kolejnego aktora, by dostarczyć energii koniecznej do działania tym, którzy zostali już opisani. Ale jeżeli trzeba dodać kolejnego, to się nie jest kompletna i jeśli powiązani aktorzy nie mają wystarczająco energii do działania, to nie są oni aktorami, ale zaledwie pośrednikami, pionkami, marionetkami. Nie czynią niczego, więc w żaden sposób nie powinni być znaleźci w opisie. Nigdy jeszcze nie widziałem dobrego opisu potrzebującego przy tym wyjaśnienia. Ale czytałem niezliczoną ilość złych opisów, do których masa dodatkowych „wyjaśnień” nic nie wnosiła! I ANT nie pomogła...

S: – To nieco załamujące. Powinienem być wiedzieć: inni studenci ostrzegali mnie, żeby obchodzić ANT szerokim łukiem... A teraz mówi Pan, że nie powinienem nawet próbować niczego wyjaśniać!

P: – Studencie, studencie! Wcale tego nie powiedziałem, po prostu albo wyjaśnienie jest wystarczające i, w praktyce, dodaje się nowy element (*agent*) do opisu – się jest wtedy dłuższa niż się [początkowo] wydawało – albo aktor nic nie zmienia, tylko dodaje się coś niewystarczającego, co nie pomaga ani opisowi, ani wyjaśnieniu. W takim razie, trzeba go odrzucić.

S: – Jednakże wszyscy moi koledzy używają wielu z nich: „korporacyjna kultura IBM-u” na przykład lub „brytyjski izolacjonizm”, „presja rynku”, albo „interes własny”. Dlaczego miałbym się pozbawiać tych kontekstualnych wyjaśnień?

P: – Może je Pan zachować, jeśli bawi to Pana, ale proszę nie wierzyć, że one cokolwiek tłumaczą – to zwykle ozdobniki. W najlepszym przypadku odnoszą się po równo do każdego z aktorów, co oznacza, że są całkowicie zbyteczne, ponieważ nie potrafią wprowadzić pomiędzy nimi różnicy. W najgorszym przypadku zatopią wszystkich interesujących aktorów w magmie złych aktorów. Kontekst jest do bani z zasady. To po prostu jest sposób na zatrzymanie opisu, kiedy jest się zmęczonym lub zbyt leniwym, żeby go kontynuować.

S: – Ale to jest właśnie mój problem: zatrzymać się. Muszę zakończyć doktorat. Zostało mi jeszcze osiem miesięcy. Pan zawsze powtarza „więcej opisów”, ale to jak z Freudem i jego terapiami, niekończąca się analiza. Kiedy się zatrzymać? Moi aktorzy są wszędzie! Dokąd ja mam się udać? Kiedy opis jest pełny?

P: – To dobre pytanie, bo praktyczne. Jak zawsze powtarzam: dobra praca, to skończona praca. Ale istnieje inny sposób, żeby się zatrzymać, niż przez „dodanie wyjaśnienia” albo „włożenie w ramię”.

S: – Proszę mi więc powiedzieć.

P: – Zatrzymuje się po napisaniu 50 000 słów lub po tylu, ile obowiązuje w wytycznych, zawsze zapominam.

S: – Och! To naprawdę wspaniale! Więc moja praca jest skończona, kiedy osiągnie limit... to wielce pomocne, wielkie dzięki! Ulżyło mi...

P: – Cieszę się, że się to Panu podoba. Ale tak na poważnie, nie zgadza się Pan, że każda metoda zależy od rozmiaru i typu tekstu, który zobowiązał się Pan dostarczyć?

S: – Ale to jest ograniczenie dotyczące tekstu, nie ma to nic wspólnego z metodą.

P: – Widzi Pan? To kolejny powód, dlaczego tak bardzo nie lubię programu studiów doktoranckich. Pisanie tekstów całkowicie wiąże się z metodą. Pisz się tekst składający się z tylu i tylu słów, przez tyle i tyle miesięcy, za tyle i tyle pieniędzy z grantu, bazując na tylu i tylu wywiadach, tylu i tylu godzinach obserwacji, tylu i tylu dokumentach. To wszystko. Nie robi się nic więcej.

S: – Oczywiście, że robię: uczę się, poznaję, wyjaśniam, krytykuję...

P: – Ale wszystkie te wielkie cele – osiąga się je za pośrednictwem tekstu, nie prawdą?

S: – Oczywiście, ale to jedynie narzędzie, medium, sposób wyrażenia siebie.

P: – Nie ma żadnego narzędzia, żadnego medium, jedynie mediatorzy. Tekst jest gęsty (*thick*). Jeśli w ogóle istnieje jakiś dogmat ANT, to właśnie taki.

S: – Przepraszam, profesorze, mówiłem już, nigdy nie interesowałem się tymi Francuzami, potrafię pisać w C, a nawet w C++, ale nie znam się na Derridzie, semiotyce ani na żadnej z tych rzeczy. Nie wierzę, że świat jest zrobiony ze słów i tak dalej...

P: – Niech Pan nie będzie sarkastyczny. To nie przystoi pańskiej duszy inżyniera. A poza tym, ja w to także nie wierzę. Pyta mnie Pan, jak się zatrzymać, więc mówię, że najlepsze, co może Pan zrobić jako doktorant, to dodać tekst przeczytany przez promotora i Pana doradców i może kilku z Pana informatorów, trzech lub czterech kolegów doktorantów, do danego stanu rzeczy. To nic wymyślnego. Tylko zwykły realizm. Jednym sposobem na to, by się zatrzymać, jest dodanie „ramy” czy „wyjaśnienia”, innym napisanie ostatniego słowa w ostatnim rozdziale Pana przeklętego doktoratu.

S: – Moją specjalnością są nauki ścisłe! Jestem inżynierem systemów – nie chodzę na zajęcia z badań nad organizacjami po to, żeby to porzucić. Mam zamiar dodać wykresy, instytucje, ludzi, mitologie, psychologię do tego, co już wiem. Jestem nawet przygotowany, żeby być „symetryczny” w stosunku do zróżnicowanych czynników, tak jak nas Pan uczy. Ale proszę nie mówić, że w nauce chodzi o opowiadanie ładnych historyjek. Taki jest właśnie z Panem problem. W jednej chwili jest Pan całkowitym obiektywistą, a nawet naiwnym realistą – „tylko opisz” – w innej, całkowitym relatywistą – „opowiedz kilka ładnych historyjek i w nogi”. Czy to nie jest strasznie francuskie?

P: – Strasznie jakie? Niech Pan nie będzie niemądry. Kto mówił o „ładnych historyjkach”? Chyba nie ja. Mówiłem, że pisze Pan doktorat. Czy może Pan temu za-

przeczytać? Później powiedziałem, że doktorat składający się z tylu i tylu słów – który będzie jedynym śladem Pańskiego pobytu między nami – jest gęsty (*thick*).

S: – Co oznacza?

P: – Co oznacza, że doktorat nie jest po prostu przezroczystą szybą, przekazującą bez deformacji informacje o Pańskich badaniach. Czy może Pan temu zaprzeczyć? „Nie ma in-formacji, a jedynie trans-formacja”, translacja, jeśli Pan woli. Przypuszczam, że zgadza się Pan z tym sloganem z moich zajęć? A więc, to jest także prawda na temat Pańskiego doktoratu.

S: – Być może, lecz chciałbym wiedzieć, w jakim sensie pomaga mi to być bardziej naukowym. Nie chcę porzucić etosu nauki.

P: – Ponieważ ten tekst, w zależności od tego, jak jest napisany, uchwyci lub nie aktora-sieć, które chce Pan studiować. Tekst w naszej dyscyplinie nie jest żadną ładną historyjką, jest funkcjonalnym równoważnikiem laboratorium. Jest to miejsce prób, eksperymentów i symulacji. W zależności od tego, co się w nim dzieje, aktor i sieć są albo nie są wyśledzone. I zależy to całkowicie od sposobów, za pomocą których tekst jest pisany – każdy nowy temat wymaga innego traktowania przez tekst. Większość tekstów jest zwyczajnie martwa. Nic się w nich nie dzieje.

S: – Ale nikt nie wspominał o tekście w naszym programie. Mówimy o „badaniu organizacji”, nie o „pisaniu” o nich.

P: – Właśnie o tym mówię, jesteście źle kształceni! Nie uczyć doktorantów nauk społecznych, jak się pisze doktorat, to tak samo, jak nie uczyć chemików, jak przeprowadzać eksperymenty laboratoryjne. Dlatego właśnie obecnie nie uczę niczego prócz pisania. Naprawdę, czuję się jak stary pierdziel, ciągle ucząc tego samego: „opisz, pisz, opisz, pisz...”

S: – Problem w tym, że nie tego chce mój promotor! On chce, żeby moje badania dawały się uogólniać. Nie chce „jedynie opisu”. Więc nawet, jeśli zrobię to, co Pan mówi, będę miał jeden opis jednego stanu rzeczy. I co wtedy? W takim przypadku wciąż muszę umieścić go ramach, znaleźć typologię, porównać, wyjaśnić, uogólnić. Dlatego wpadam w panikę.

P: – Powinien Pan panikować tylko wtedy, gdy Pańscy aktorzy także nie robią tego nieustannie, aktywnie, refleksyjnie, obsesyjnie: oni także porównują, także wytwarzają typologie, także projektują standardy, także rozprzestrzeniają swoje maszyny tak samo jak swoje organizacje, ideologie, stany umysłu. Dlaczego miałby Pan być jedynym inteligentnym, podczas gdy oni mieliby zachowywać się jak stado baranów? Trzeba również opisać to, co oni robią, by rozprzestrzeniać się, odnosić się, porównywać, organizować. To nie jest kolejna warstwa, którą musi Pan dodać do „czystego opisu”. Niech Pan nie próbuje przesuwać się z opisu do wyjaśnienia, po prostu należy kontynuować opis. Zawartość Pańskich idei na temat firmy jest w ogóle nieinteresująca w porównaniu z tym, jak samej firmie udało się rozprzestrzenić.

S: – Ale jeśli moi ludzie nie działają, jeśli aktywnie nie porównują, standaryzują, organizują, uogólniają, to co mam wtedy zrobić? Utknę. Nie będę w stanie dodać żadnych innych wyjaśnień.

P: – Jest Pan naprawdę niezwykle! Jeśli Pana aktorzy nie działają, nie zostawią po sobie także żadnego śladu. Więc nie będzie Pan miał w ogóle żadnej informacji. Więc nie będzie nic do powiedzenia.

S: – Sądzi Pan, że jeśli nie ma żadnego śladu, powinienem nic nie mówić?

P: – Niewiarygodne, czy zadałby Pan to pytanie w obrębie którejkolwiek z nauk przyrodniczych? Zabrziałoby to niedorzecznie. Trzeba być badaczem społecznym, by twierdzić, że można kontynuować wyjaśnianie nawet wtedy, gdy nie ma jakichkolwiek informacji! Czy jest Pan naprawdę gotowy, aby wymyślać dane?

S: – Nie, oczywiście, że nie, ale wciąż chcę...

P: – Dobrze, przynajmniej jest Pan bardziej rozsądny niż większość naszych kolegów. Nie ma śladu, zatem nie ma informacji, nie ma opisu, nie ma dyskusji. Niech Pan nie zapełnia tego na siłę. To jest jak szesnastowieczna mapa jakiegoś lądu: nikt tam nie dotarł albo nikt stamtąd nie wrócił, więc na miłość boską, zostawmy ją nie wypełnioną! *Terra incognita*.

S: – Ale co z niewidzialnymi bytami działającymi w ukryty sposób?

P: – Jeśli działają, pozostawiają jakieś ślady, wtedy masz jakąś informację i wtedy możesz o niej mówić. Jeśli nie, po prostu siedź cicho.

S: – Ale jeśli są one tłamszone, odrzucane, uciszane?

P: – Nic nie upoważnia Pana do mówienia, że istnieją bez zostawiania dowodu swojej obecności. Dowód może być pośredni, wymagający, skomplikowany, ale jest potrzebny. Niewidzialne rzeczy są niewidzialne. Kropka. Jeśli wprawiają w ruch inne rzeczy i jeśli można je zarejestrować, wtedy są widzialne. Jeszcze raz: kropka.

S: – „Dowód, dowód”. Czym jest w ogóle dowód? Czy nie jest to okropnie pozytywistyczne?

P: – Mam nadzieję, że tak. Cóż jest wspańiałego w twierdzeniu, że rzeczy, których istnienia nie możemy dowiedzieć, działają? Obawiam się, że miesza Pan teorie społeczne ze spiskowymi, chociaż przyznaję, że większość krytycznych nauk społecznych do tego się sprowadza.

S: – Lecz jeśli nic nie dodam, powtórzę po prostu to, co mówią aktorzy.

P: – Jaki byłby pożytek z dodawania niewidzialnych bytów, które działają bez pozostawiania jakichkolwiek śladów, bez wpływania na jakikolwiek stan rzeczy?

S: – Muszę sprawić żeby aktorzy nauczyli się czegoś, czego nie wiedzieli; jeśli nie, po co miałbym ich badać?

P: – Wy badacze społeczni, zawsze wprowadzacie mnie w zakłopotanie. Gdybyście badali mrówki (*ants*) zamiast ANT, czy oczekiwalibyście od mrówek, że nauczą się czegoś z waszych badań? Oczywiście, że nie. One wiedzą, a wy nie. One są nauczycielami, uczycie się od nich. Wyjaśniacie sobie, co one robią dla korzyści własnych lub innych entomologów, nie zaś dla mrówek, bo guzik je to obchodzi. Z jakiego powodu uważa Pan, że badanie zawsze powinno uczyć czegoś badanych ludzi?

S: – Ale o to właśnie chodzi w naukach społecznych! Dlatego jestem tutaj, w LSE: aby poddać krytyce ideologie zarządzania, żeby obalić wiele mitów na temat technologii informatycznych, aby uzyskać krytyczne spojrzenie na szum wokół nowi-

nek technicznych i na ideologie rynku. Jeśli nie, niech mi Pan wierzy, wciąż siedziałbym w Dolinie Krzemowej i zbijał kokosy – choć może nie teraz, kiedy balon już pękł... W każdym razie muszę skłonić ludzi do refleksyjnego myślenia...

P: – ...którzy oczywiście byli bezrefleksyjni, zanim się Pan zjawił!

S: – W pewnym sensie tak. Nieprawdaż? Robili różne rzeczy, ale nie wiedzieli dlaczego... Co w tym złego?

P: – To jest strasznie oklepane. Większość z tego, co badacze społeczni nazywają refleksyjnością, jest po prostu zadawaniem zupełnie nieistotnych pytań ludziom, którzy zadają inne pytania, na które analitycy w najmniejszym stopniu nie potrafią odpowiedzieć. Nie posiada Pan refleksyjności tylko z racji tego, że jest Pan na LSE! Pan i Pańscy informatorzy macie różne zainteresowania, jeśli wasze ścieżki się przetną, będzie to cud, a cuda, na wypadek, gdyby Pan nie wiedział, zdarzają się rzadko...

S: – Jeśli nie miałbym nic do dodania do tego, co mówią aktorzy, nie będę zdolny do krytyki.

P: – Widzi Pan, raz chce Pan wyjaśniać i zgrywać naukowca, innym razem chce Pan obalać, krytykować i udawać bojownika...

S: – A ja właśnie chciałem powiedzieć, że raz jest Pan naiwnym realistą – na powrót do przedmiotu – a następnie Pan mówi, że pisze Pan tekst, który nic nie dodaje, a jedynie podąża śladem Pana słynnych aktorów. To jest całkowicie apolityczne. Nie dostrzegam tu żadnego krytycznego spojrzenia.

P: – Proszę powiedzieć, Panie Obalaczu, jak Pan zamierza osiągnąć krytyczne spojrzenie na swoich aktorów? Bardzo chciałbym usłyszeć.

S: – Gdybym tylko miał ramę odniesienia. Tego właśnie szukałem, przychodząc tutaj, ale najwidoczniej ANT nie jest w stanie mi tego dać.

P: – I jestem z tego całkiem zadowolony. Jak mniemam, ta Pańska rama jest ukryta przed oczami Pańskich informatorów i zostanie objawiona przez Pańskie badania?

S: – Tak, oczywiście. Taka powinna być wartość mojej pracy. Mam przynajmniej taką nadzieję. Nie opis, ponieważ wszyscy wiedzą to, co w nim jest, ale wyjaśnienie, kontekst, którego z braku czasu nie zauważają, typologia... Rozumie Pan, nie mają czasu, żeby myśleć. To mogą im dać, i przy okazji są tym zainteresowani w firmie oraz gotowi udostępnić akta, a w dodatku za to zapłacić!

P: – No i dobrze... Czy sugeruje Pan, że w ciągu sześciu miesięcy pracy terenowej może Pan sam, jedynie pisząc kilkaset stron, wytworzyć więcej wiedzy, niż tych 340 inżynierów wraz z załogą, których Pan bada?

S: – Może nie „więcej”, ale inną wiedzę. Tak, taką mam nadzieję. Czy nie powinienem dążyć właśnie do tego? Czy to nie dlatego siedzę w tym interesie?

P: – Nie jestem pewien, w jakim interesie Pan siedzi, ale jak różna jest wytwarzana przez nich wiedza od Pańskiej, oto całe pytanie.

S: – Jest to ten sam rodzaj wiedzy jak w pozostałych naukach, ten sam sposób wyjaśniania, poprzez przechodzenie od danego przypadku do przyczyny, a kiedy znamy już przyczynę, mogę uzyskać skutek, jako jej konsekwencję. Co w tym złe-

go? To jest jak pytać, co się stanie z wychylonym wahadłem; jeśli znam prawo Galileusza, to nawet nie muszę spoglądać na żadne inne wahadło. Dokładnie wiem, co się stanie, zakładając, że zapomnę o zakłóceniach.

P: – Oczywiście...! Więc liczy Pan na to, że Pana rama odniesienia służąca wyjaśnianiu będzie tym samym dla Pana studium przypadku, jak w prawie Galileusza opadające wahadło, oczywiście, pomijając zakłócenia.

S: – Tak sądzę, coś w tym rodzaju, chociaż naturalnie naukowo mniej ściśle. Dlaczego? Co w tym złego?

P: – Nic, to byłoby wspaniale, ale czy to jest wykonalne? To oznaczałoby, że jakkolwiek zachowa się konkretne wahadło, nie doda nam żadnych nowych informacji do prawa grawitacji. Prawo zawiera potencjalnie wszystko, co można wiedzieć na temat zachowania się wahadła. Konkretny przypadek jest po prostu – by rzecz na modłę filozofów – aktualizacją potencji, która już tam była.

S: – Czyż to nie jest idealne wyjaśnienie?

P: – W tym problem. Jest to ideał do kwadratu, to jest ideał idealnego wyjaśnienia. Jakoś wątpię, żeby Pańskie przedsięwzięcie podporządkowało się temu. Jestem przekonany, że nie uda się Panu stworzyć prawa na temat jego zachowania, które pozwoliłoby Panu wydedukować wszystko jako aktualizację tego, co było już tam potencjalnie.

S: – Pomijając zakłócenia...

P: – Tak, tak, tak, to się rozumie samo przez się... Pańska skromność jest godna podziwu...

S: – Czy Pan się ze mnie naśmiewa? Stworzenie takiego rodzaju ramy wydaje mi się możliwe do wykonania...

P: – Czy jest to pożądane? Naprawdę mówi mi Pan, że aktorzy w Pana opisie nie zmieniają. Oni po prostu zaktualizowali potencję, pominawszy pomniejsze odchylenia. Co oznacza, że wcale nie są aktorami, oni po prostu przenoszą siłę, która przez nich przepływa. Więc, drogi studentcie, marnował Pan własny czas, opisując ludzi, przedmioty, miejsca, które nie są niczym więcej niż biernymi pośrednikami, ponieważ same z siebie nic nie robią. Pański czas został zwyczajnie zmarnowany. Powinien Pan bezpośrednio przejść do przyczyny.

S: – Ale właśnie po to jest nauka! To odkrywanie ukrytych struktur, które wyjaśniają zachowanie jednostek, o których myślałeś, że coś robią, ale w rzeczywistości po prostu znajdują się w miejscu czegoś innego.

P: – Zatem jest Pan strukturalistą! Wreszcie wyszło szydło z worka. Czyli nazywa Pan aktorów tymi, którzy zajmują miejsca?! I jednocześnie chciałby Pan stosować teorię aktora-sieci! To jest dość poważne rozciąganie granic eklektyzmu.

S: – Dlaczego nie mogę robić obu rzeczy naraz? Oczywiście, jeżeli ANT ma jakieś naukowe treści, to musi być strukturalizmem.

P: – Czy zdawał Pan sobie sprawę, że w określeniu „teoria aktora-sieci” znajduje się słowo „aktor”? Czy może mi Pan powiedzieć, jaki rodzaj czynności wykonują, w strukturalistycznym wyjaśnieniu, ci, którzy zajmują miejsca?

S: – Ależ oczywiście – wypełniają jakąś funkcję, i to właśnie jest takie wspaniałe

w strukturalizmie, jeśli zrozumiałem go poprawnie. Jakakolwiek inna jednostka na tym samym miejscu byłaby zmuszona robić to samo.

P: – Więc zajmujący miejsce z definicji jest całkowicie zastępowalny przez kogośkolwiek innego?

S: – Tak, właśnie to jest takie wspaniałe.

P: – Ale jest to niezbyt mądre i powoduje, że strukturalizm nie pasuje do ANT: aktor który nic nie zmienia, w moim słowniku nie jest w ogóle aktorem. Aktor [czyli działający<sup>3</sup>], jeśli słowa mają jakiekolwiek znaczenie, właśnie nie daje się zastąpić przez kogokolwiek innego. Jest unikalnym zdarzeniem, całkowicie nieredukowalnym do czegoś innego. Z wyjątkiem sytuacji, w której upodobni się jednego aktora do drugiego za pomocą jakiegoś typu standaryzacji, ale nawet to wymaga jakiegoś trzeciego aktora, jakiegoś trzeciego zdarzenia.

S: – A więc mówi mi Pan, że ANT to nie nauka!

P: – Z pewnością nie strukturalistyczna.

S: – Ale to to samo, każda nauka...

P: – Nie! Jeśli informacja jest transformacją, badania nad organizacjami, nauką, techniką, biznesem, informacją, ale i socjologia, geografia, antropologia i inne z podobnych dziedzin nie mogą z definicji opierać się na wyjaśnieniu strukturalistycznym.

S: – „Systemy transformacji” to jest właśnie istota strukturalizmu!

P: – W żadnym razie, mój przyjacielu, ponieważ w strukturalizmie nic tak naprawdę nie ulega transformacji. Zdaje się, że nie uświadamia Pan sobie przepaści dzielącej strukturalizm i ANT. Struktura jest po prostu jakąś siecią, o której ma Pan jedynie bardzo pobieżnie informacje. Jest użyteczna, gdy czas nagli, ale niech Pan mi nie mówi, że jest bardziej naukowa. Jeśli chcę mówić o aktorach, muszą coś czynić, a nie tylko zajmować miejsca. Jeśli działają, to muszą coś zmieniać. Jeżeli nic nie zmieniają, odrzuć ich i zacznij opis od nowa. Dąży Pan do nauki, w której nie ma żadnego przedmiotu.

S: – Pan i te Pańskie historie... barwne opowieści – właśnie tego Pan chce. Ja mówię o wyjaśnianiu, wiedzy, krytycznym spojrzeniu, a nie pisaniu scenariuszy oper mydlanych.

P: – Właśnie do tego zmierzałem. Pragnie Pan, żeby ta Pańska kilkusetstronicowa sterta papierów coś zmieniła, prawda? No cóż, w takim razie będzie Pan musiał udowodnić, że Pański opis tego, co ludzie robią, kiedy już do nich trafi, zmieni coś w ich sposobie działania. Czy to jest właśnie, według Pana, „krytyczne podejście”?

<sup>3</sup> W języku angielskim rzeczownik *actor* wywodzi się z czasownika *to act*, czyli działać. W *Społecznym tworzeniu rzeczywistości* Petera Bergera i Thomasa Luckmanna, Józef Niżnik przekłada właśnie słowo *actor* jako „działający” i tłumaczenie to jest bardziej przyjazne dla czytającego. Niestety, z drugiej strony, w przypadku ANT, dziwny zlepek „aktor-sieć” zamieniłby się w jeszcze dziwniejszy: „działający-sieć”. Oba wyjścia mają swoje wady, ale wybieramy „aktora”, ponieważ jako pojęcie jest już zdomowione w polskich naukach społecznych oraz dlatego, że „Teoria Aktora-Sieci” brzmi lepiej. Uczulamy jednak czytelnika na fakt, że „aktor” oznacza koniec końców „działającego” – przyp. tłum.

S: – Sądzę, że tak.

P: – Ale wtedy – zgodzi się Pan – nie ma sensu podsuwać ludziom przyczyn niemających żadnego związku z tym, co oni robią, z racji tego, że są one zbyt ogólne?

S: – Oczywiście, że nie. Mówiłem o prawdziwych przyczynowościach.

P: – Ale to także nic nie da. Gdyby one istniały – w co wątpię – nie działałyby inaczej, niż przekształcając Pańskich informatorów w zajmujących miejsca innych aktorów, których nazwie Pan funkcją, strukturą etc. Koniec końców, nie byłiby to już aktorzy, lecz figuranci, marionetki – a nawet mniej niż marionetki, skoro te sprawiają, że poruszający je lalkarze robią dużo niespodziewanych rzeczy... Tak czy inaczej, sprawia Pan, że aktorzy są już niczym, w najlepszym przypadku spowodują oni jakieś lekkie zakłócenia, jak w realnym wahadle.

S: – ...

P: – Teraz niech mi Pan powie, na czym polega wielka polityczna doniosłość przekształcania tych, których Pan przebadał, w nieszczęsnych i pozbawionych działania wypełniaczy miejsc, w ukryte funkcje, które Pan i tylko Pan może spoznać i wytropić?

S: – Hmm, potrafi Pan odwracać kota ogonem... teraz już nie jestem taki pewien. Jeśli aktorzy uzmysłowią sobie wiążące ich konieczności... staną się bardziej świadomi... bardziej refleksyjni... to czy ich świadomość nie zostanie w jakiś sposób wzbudzona? Mogą teraz wziąć swój los w swoje ręce. Stają się bardziej oświeceni, czyż nie? Skoro tak, to powiedziałbym, że teraz w końcu częściowo dzięki mnie jest więcej aktorów.

P: – *Bravo, bravissimo!* Więc aktor dla Pana to jakiś w pełni zdeterminowany czynnik, plus ktoś zajmujący miejsce ze względu na jakąś funkcję, plus odrobina zakłóceń, plus pewna doza świadomości dodana do nich wszystkich przez oświeconych badaczy społecznych? Okropne, po prostu okropne... i ci goście chcą siedzieć w ANT! Po tym, jak zredukował Pan ich z aktorów do zajmujących miejsce, teraz chce Pan kopnąć leżącego i wspaniałomyślnie obdarować tych nieboraków refleksyjnością, którą mieli wcześniej, i którą odebrał im Pan, traktując ich na sposób strukturalistyczny! Niebawale! Byli aktorami, zanim przyszedł Pan ze swoim „wyjaśnieniem” – proszę mi nie mówić, że to Pana badanie uczyniło ich takimi. Świetna robota studentie. Bourdieau nie zrobiłby tego lepiej...

S: – Może Pan nie przepadać za Bourdieu, ale był prawdziwym naukowcem, a co więcej, miał znaczenie polityczne. Według mojego rozeznania, o Panu nie można tego powiedzieć...

P: – Dziękuję. Zajmuję się badaniem powiązań pomiędzy nauką a polityką od ponad trzydziestu lat, więc trudno mnie zastraszyć gadaniem o tym, która nauka ma „polityczne znaczenie”.

S: – Z kolei mnie nie zastraszą argumenty odwołujące się do autorytetu, więc Pańskie trzydzieści lat badań nie ma dla mnie znaczenia.

P: – *Touché*... ale Pana pytanie brzmiało: „Co mogę zrobić z ANT?”. Odpowiedziałem: wyjaśnienie strukturalistyczne nie wchodzi w grę. Oba całkowicie do siebie nie przystają. Albo ma Pan aktorów, którzy urzeczywistniają potencjalności, a w

takim razie wcale nie są aktorami, albo opisuje Pan aktorów, którzy aktualizują wirtualności (nawiasem mówiąc, to język Deleuze’a), co wymaga specyficznych tekstów i Pańskie powiązanie z tymi, których Pan bada, wymaga szczególnego typu protokołów do pracy. Wydaje mi się, że właśnie to nazwałby Pan „krytycznym spojrzeniem” i „znaczeniem politycznym”.

S: – Więc w czym się różnimy? Pan również chce uzyskać krytyczne spojrzenie.

P: – Tak, być może, ale jednego jestem pewien: nie jest to automatyczne i w większości przypadków zawiedzie. Dwieście stron wywiadów, obserwacji i tym podobnych nic nie zmienia ot tak sobie. Bycie ważnym wymaga innego zbioru wyjątkowych okoliczności. To jest wydarzenie. To wymaga działania o niezwyklej wyobraźni, tak wielkiego, tak rzadkiego, tak zaskakującego, jak to było w przypadku Galileusza i jego wahadła czy też Pasteura i wirusa wścieklizny.

S: – Więc co powinienem zrobić? Modlić się o cud? Złożyć w ofierze kurczaka?

P: – Ale dlaczego chce Pan, aby Pana mały tekścik był automatycznie ważniejszy dla tych, do których jest skierowany, niż jakieś duże laboratorium? Proszę zobaczyć, ile czasu i wysiłku zajęło Intelowi™ sprawienie, że jego podzespoły są tak ważne dla telefonii komórkowych! A Pan chce, bez poniesienia żadnych kosztów, aby każdy posiadał etykietę „LSE™ inside”? Aby stać się ważnym, potrzebna jest dodatkowa praca.

S: – Tego mi właśnie było trzeba! Perspektywy większej ilości pracy!

P: – Sęk w tym, że jeśli jest ona automatyczna, ogólnikowa, służąca wszystkim celom, wtedy nie może być naukowa. Jest po prostu nieistotna. Jeśli badanie jest rzeczywiście naukowe, to może się nie udać.

S: – Ale mi ulżyło, miło z Pana strony, że przypomniał mi Pan, że mogę oblać mój doktorat.

P: – Myli Pan naukę z mistrzostwem. Proszę mi powiedzieć czy może Pan sobie wyobrazić choćby jeden temat, do którego dla przykładu nie da się zastosować krytycznej socjologii Bourdieu, którą Pan tak hołubi.

S: – Za to ja nie mogę sobie wyobrazić jakiegoś zagadnienia, do którego mógłbym zastosować ANT.

P: – Pięknie, ma Pan całkowitą rację. Ja myślę dokładnie tak samo.

S: – To nie miał być komplement.

P: – Ale ja to tak odbieram. Aplikacja czegokolwiek jest tak rzadka jak dobry tekst w naukach społecznych.

S: – Czy mogę uprzejmie zauważyć, że mimo Pana nadzwyczaj subtelnej filozofii nauki, ciągle nie powiedział mi Pan, jak napisać dobry tekst...

P: – Tak ochoczo dokładałby Pan te ramy, kontekst, struktury do Pańskich „jedynie opisów”, że i tak by mnie Pan nie wysłuchał.

S: – Więc jaka jest różnica pomiędzy dobrym i złym tekstem z zakresu ANT?

P: – I to jest dobre pytanie!

S: – W końcu?

P: – Tak, w końcu. Odpowiedź: taka sama jak pomiędzy dobrym i złym laboratorium. Ni mniej, ni więcej.



S: – No cóż, dziękuję... To miło z Pana strony, że Pan ze mną porozmawiał. Ale myślę po tym wszystkim, że zamiast ANT... warto wykorzystać jako ramy teorii systemów Luhmanna – to wydaje się obiecujące, *autopoiesis* i takie tam. Albo użyć obu po trochu.

P: – ...

S: – Nie lubi Pan Luhmanna.

P: – Na Pana miejscu odrzuciłbym wszelkie ramy.

S: – Ale Pana rodzaj nauki, jak mi się zdaje, oznacza łamanie wszystkich zasad uczonych w naukach społecznych.

P: – Wolę je łamać i podążać za moimi aktorami... Tak jak Pan powiedział, jestem w końcu naiwnym realistą, pozytywistą.

S: – Wie Pan, co byloby naprawdę dobre? Skoro wydaje się, że nikt tutaj nie rozumie, co to jest ANT, powinien Pan napisać przewodnik na ten temat. Dzięki temu nasi nauczyciele wiedzieliby, co to jest. I wtedy, jeśli mogę to powiedzieć, nie chcę być niegrzeczny, może nie popychaliby nas zbyt mocno w tę stronę, jeśli rozumie Pan, o co mi chodzi.

P: – Czy to naprawdę takie złe? Taki przewodnik..?

S: – Niech Pan pomyśli, ja jestem po prostu doktorantem, Pan jest profesorem. Wydał Pan już wiele. Może Pan sobie pozwolić na rzeczy, na które ja nie mogę. Ja muszę słuchać promotora. Najzwyklejniej w świecie, nie mogę za bardzo skorzystać z Pana rady.

P: – To dlaczego Pan do mnie z tym przyszedł?

S: – Muszę się przyznać, że przez ostatnie pół godziny sam się nad tym zastanawiałem.

first to tackle were the troubles with the name itself and the improper use of the term 'theory'. Then came the question of understanding what a tool is; juxtaposing the frame (as a context) with a description; objectivity and empiricism and relativism at the same time; text approached as a social sciences laboratory. The notion of 'actor' made opposite to a marionette controlled by social forces, thus being an informer only, is discussed at more length. Along with those, accompanying issues appear of information as transformation, invisibility of actors and their criticality and reflexivity.

## Abstract

**Bruno LATOUR,**  
**The Institute for Political Studies (Paris)**

### Prologue in the form of a dialogue between a student and his (somewhat) Socratic Professor

The text is in the form of a dialogue between a professor representing the Actor-Network Theory and a doctor's degree candidate whose tutor has suggested to him that he applied the approach in his research. A talk is, then, one between an expert (in a given area) and a layman. Such a structure enables the staging of going through a variety of misunderstandings arising around the Theory and some typical accusations charged against it. The